**VIII. ABERRACJE ROZLICZEŃ HISTORYCZNYCH \***

Jednym z przejawów elementarnej niezdolności do współżycia i współdziałania z ludźmi o odmiennych interesach, poglądach, drogach życiowych i dążeniach jest taki sposób myślenia i praktycznego działania, w którym nie widzi się miejsca dla świadectw i pozostałości źle ocenianej przeszłości, także dla ludzi uosabiających tę przeszłość (choćby nawet po drodze się zmienili), a tym bardziej nie dostrzega się możliwości jakiejkolwiek teraźniejszej wspólnoty z tymi, z którymi wcześniej coś lub „wszystko” nas dzieliło. Najważniejszym zadaniem politycznym staje się – choćby nawet już zostali pokonani i rozbrojeni – usunąć ich z pamięci zbiorowej, na podobnej zasadzie, jak z protokołu wymazuje się tekst gumką.

W takim przypadku polityka nie może być rozumiana jako gra o wyniku nieprzewidzianym i nieprzesądzonym z góry (bo gramy pod warunkiem, że nasze zwycięstwo jest zagwarantowane), jako sztuka porozumiewania się ponad podziałami ani nawet rywalizacji i walki w ramach jakiejś uznawanej wspólnoty zasad i wartości (przeciwnie, wtedy polityka jest wojną, umiejętnością zniszczenia tych, którzy nam zaprzeczają swoimi cechami i którzy się nam sprzeciwiają). Zawziętość ludzi owładniętych manią rozliczania (w celu eliminowania) nasuwa skojarzenie z horrorem o żarłocznej niszczarce, której nigdy dość.

Jest to więc jedna ze swojackich form prymitywizmu w stylu uczestnictwa w polityce, ale specyficzna o tyle, że pragnienie pozostania jedynie w kręgu swojaków i rekwizytów swojskich, wręcz kompleks jedyności objawia się w obsesyjnym zwróceniu uwagi i energii w kierunku przeszłości, a nie teraźniejszości i przyszłości. Zamiast prób zrozumienia współczesności, analizy problemów, zadań i zasobów społecznych, realnego układu sił w nowej sytuacji historycznej, zamiast aktualizacji podziałów ideologicznych i politycznych (skoro często przestają być aktualne) zwolennicy tego podejścia ograniczają się do rytualistycznie i fetyszystycznie pojętych rozliczeń. Rozliczenia – choć formalnie mają czemuś służyć, coś rozwiązać – w rzeczywistości stają się celem samym w sobie, potrzebą, wartością i satysfakcją samoistną. Sprowadzone do czynności obrzędowo-kultowych zaczynają przypominać… natręctwa nerwicowe. Obsesyjny rozliczeniowiec musi nieustannie rozliczać (szukać, śledzić, tropić, demaskować, moralizować) na podobnej zasadzie, jak pewna gospodyni musi co chwila myć ręce, a pewien czochrać się nad biurkiem.

Gorliwość, ba – zawziętość w dążeniu do rozliczeń jest odwrotnie proporcjonalna do zdolności wniknięcia w złożoność stosunków społeczno-politycznych i uwarunkowań ludzkiego postępowania w zmiennych okolicznościach historycznych. Prymitywizm wyobrażeń o życiu społecznym i o decyzjach ludzkich przekłada się na prymitywizm rozwiązań mających jakoby spowodować jakościową zmianę, naprawę zła.

W szczególności rozliczeniowcy operują czarno-białą i ahistoryczną wizją przeszłości, rozpaczliwie redukując wielowymiarowe zjawiska do jednego wymiaru. A już na pewno nie rozumieją, czym jest uwikłanie uczestnika dowolnych więzi społecznych i politycznych – uwikłanie jego własnego funkcjonowania i jego tożsamości w określony kontekst sytuacyjny, reguły gry społecznej i kulturowo-ideologiczne reguły interpretacji zachowań, które w dodatku zmieniają się (zmiana optyki) w ślad za zmianą realnych struktur.

W sytuacjach, gdy zmienia się układ odniesienia dla egzystencji, działalności, tożsamości jednostek i grup, a w konsekwencji również punkt wyjścia dla społecznych ocen jego dokonań i oblicza – w takich sytuacjach wyraźnie zarysowuje się różnica między *analitycznym, zobiektywizowanym* ujęciem uczestnictwa (a zatem i uwikłania) a podejściem nacechowanym określoną *intencją ideologiczną*, w konsekwencji brzemiennego w nieunikniona tendencyjność i uproszczenia.

**Analityczne (obiektywistyczne) ujęcie uczestnictwa i uwikłania**

Podejście analityczne, zobiektywizowane zakłada potraktowanie uczestnictwa wprawdzie jako splotu pewnych czynników (składników), ale takiego, że z jednej strony tworzą one nierozerwalną całość, lecz z drugiej strony, każdy element posiada pewne cechy względnie autonomiczne, które można rozpatrywać także w oderwaniu od tej całości (pierwotnego układu odniesienia), jako cechy same w sobie. Wiąże się z tym dylemat: kiedy cechy i zachowania członków jakiejś wspólnoty czy funkcjonariuszy instytucji społecznej traktować jako zaprogramowane, przesądzone i narzucone przez charakter i sposób działania całości, kiedy zaś uznać je za przejaw autonomii, odrębności, indywidualnego wyboru lub inicjatywy – i jak w tym kontekście dokonywać ocen moralnych i prawnych.

Każdy lub prawie każdy z elementów całości społecznej ma charakter dwoisty. Z jednej strony, samo jego powstanie ma miejsce w określonych okolicznościach; powstaje, funkcjonuje i rozwija się (ew. zmienia) w określonym sąsiedztwie (tzn. w powiązaniu z innymi elementami – także „obcymi” sobie). Być może nawet dane zjawisko nigdy nie powstałoby w innej sytuacji, w innym kontekście. W okresie funkcjonowania tego układu odniesienia to on nadaje sens (określoną wymowę) temu zjawisku. Jednak wtórnie zjawisko uwarunkowane i niejako zdefiniowane przez swój pierwotny układ odniesienia obiektywizuje się. W dalszym swym istnieniu, rozwoju, a także w odczytaniu *post factum* może ono funkcjonować oraz być odczytywane już inaczej (nawet polemicznie, rewizjonistycznie) niż w tym pierwotnym układzie odniesienia.

Widać to wyraźnie w losach dzieł literackich, artystycznych, utworów muzycznych, publikacji naukowych. Intencje, poglądy autorów nie muszą być ani identyczne, ani nawet zbieżne z intencjami mocodawców, patronów, protektorów, odbiorców, komentatorów, następców – choć nie unikną oni skojarzenia, nawet utożsamienia swych dzieł z tymi, którzy je zamówili, nagrodzili, upowszechniali. Z drugiej strony, określone poglądy i intencje twórców (także zgodne z tzw. zamówieniem ideologicznym, propagandowym, politycznym) wcale nie są przeszkodą ku temu, aby dzieło zyskało uznanie po przeciwnej stronie barykady i posłużyło nawet jako argument czy narzędzie antagonistów.

Praktycznie każde dzieło kultury symbolicznej – także niezależnie od intencji i poglądów twórcy – może stać się składnikiem nadbudowy ideologicznej danego ustroju politycznego, a nawet może być instrumentalnie wykorzystane w legitymizacji określonej siły politycznej. Zresztą, dzieła powstałe na zamówienie polityczne mogą być wyrazem bądź ówczesnego zaangażowania twórcy (który z czasem może ewoluować, zmienić poglądy nawet na przeciwstawne), bądź jego konformistycznych i oportunistycznych kalkulacji (wtedy zakłamana jest postawa twórcy, ale to nie znaczy, że to automatycznie przekreśla autentyzm samego dzieła, jego wartość estetyczną czy poznawczą). Ale nieuzasadniona jest zarówno jedna, jak i druga redukcja (np. pisarz pozytywnie zaangażowany i nagradzany w PRL jako komunista, lub przeciwnie – jako dobrze zakamuflowany konspirator, Wallenrod; a taką alternatywę wymuszają współcześni fundamentaliści).

Z drugiej strony, dzieło muzyczne, architektoniczne, literackie (nawet nie przestając być dokumentem czy świadectwem, zabytkiem minionej epoki) nie jest sprowadzalne do niej, nie ma takiego samego statusu jak stenogram zebrania z dnia czy raport o stanie nastrojów w określonym dniu. Już w chwili zainspirowania czymś lub zamówienia, w okresie swego funkcjonowania itd. dzieło może mieć sens wieloznaczny i względnie autonomiczny. Ponadto „niewłaściwe pochodzenie” i „nieodpowiednie sąsiedztwo” nie przeszkadza – obiektywnie rzecz biorąc – w tym, aby to, co z tych względów uchodziło za niesłuszne, a nawet szkodliwe, niegodne przetrwania, było jednak użyteczne i/lub traktowane neutralnie w następnych pokoleniach. O tym, jak nie pokrywają się ze sobą kontekst powstania i kontekst odbioru, najlepiej świadczy np. *Październik* Eisensteina, zgodnie uznawany za arcydzieło sztuki filmowej przez krytyków i widzów o nader rozbieżnych i przeciwstawnych poglądach.

Podobnie jest z losami i biografiami ludzi, z ich drogą życiową i dokonaniami. Żyją, uczą się, pracują, ew. bogacą się, robią kariery zawodowe w takich warunkach, jakie zastali, jakich sami nie wybierali, jakich zwykle nie są w stanie zmienić (w każdym razie nie od razu i nie w pojedynkę), a czasem nie są w stanie wyobrazić sobie alternatywy, skoro zostali ukształtowani w jednoznacznie zaprogramowanym procesie socjalizacji i indoktrynacji.

Przy tym oni sami nie muszą nadawać swym wyborom życiowym (wyborowi kierunku kształcenia, zawodu, miejsca pracy i zamieszkania, wyborowi przyjaciół i małżonka), swym życiowym sukcesom lub porażkom (nagrodom, chorobie, rozwodowi) żadnego sensu politycznego. Mogą postrzegać te sprawy same w sobie, jako osobiste, rodzinne, towarzyskie, zawodowe, lokalne – w oderwaniu od tła politycznego.

Kwalifikacji zawodowych ani doświadczeń miłosnych zwykle nie zdobywa się za lub przeciw czemuś i komuś. Na co dzień na stadionie nikt nie gra w meczach i nie startuje w wyścigach na znak protestu, lecz też nie na znak poparcia, posłuszeństwa czy kolaboracji. Starówki i Zamku Królewskiego w Warszawie nie odbudowano po wojnie w ramach ruchu oporu, kontestacji reżymu, a zasługi w tej sprawie, uhonorowane orderem państwa później wyklętego nie są hańbą, plamą na honorze, kolaboracją. To po latach ktoś ahistorycznie, prezentystycznie chce swoje współczesne kryteria wpisać sztucznie w historię.

 Formy życia codziennego i mikrostruktury społeczne (rodzina, krąg znajomych i przyjaciół, wspólnota sąsiedzka) funkcjonują na takiej zasadzie, że można być żonatym lub wolnym, osobiście szczęśliwym lub nieszczęśliwym w każdym ustroju (choć oczywiście określony typ ustroju stwarza większe lub mniejsze szanse na samorealizację albo na stłumienie, frustrację). W każdym ustroju można być zdrowym lub chorym, zaangażowanym w sprawy społeczne (np. propagowanie kultury, krzewienie higieny, działalność społecznikowską, troskę o środowisko naturalne) lub mizantropem i sobkiem, człowiekiem uczciwym lub krętaczem, złodziejem, pracoholikiem lub obibokiem, pasożytem, kombinatorem. Każdy ustrój narzuca pewne ramy, każdy z nich ma swoje patologie, które w dodatku może wymuszać w codziennym funkcjonowaniu ludzi; choć można je porównywać pod określonym względem i przyznawać jakiemuś (ale właśnie pod określonym względem) wyższość, przypisywać (znów pod pewnym względem) anachroniczność. Nie ma jednak tożsamości ani automatycznej zależności między funkcjonalnością lub patologiami systemu a dewiacjami i patologiami postaw ludzkich. Uwarunkowania postępowania ludzi oscylują między wpływem, naciskiem makrostruktur i wzorów społecznych a osobistym wyborem i oddziaływaniem najbliższego środowiska. Bilans znaczenia tych czynników jest zróżnicowany w każdej sytuacji; uproszczeniem są więc zarówno fatalistyczne, jak i moralistyczne wytłumaczenia ludzkich zachowań, stylu pracy, szczerości lub zakłamania, okoliczności karier.

Życiem społecznym rządzi złożona dialektyka cech specyficznych dla konkretnego ustroju oraz cech ponadustrojowych, ponadczasowych. I tak, istnieje przestępczość w ogóle (jako taka), przestępczość specyficzna (jeśli chodzi o przedmiot, dziedzinę lub formę) dla określonych ustrojów(przykład – spekulacje giełdowe, nieznane w gospodarce nakazowo-rozdzielczej), ale też taka, która zachowuje ciągłość w kolejnych ustrojach, co najwyżej w rozmaitych mutacjach (vide: korupcja).

Aby więc zrozumieć, a nie tendencyjnie wypaczyć lub zredukować coś do jakiejś podyktowanej ideologiczno-propagandowymi intencjami etykietki, trzeba zastosować zasadę emergencji oraz – znaną zwłaszcza z metodologii badań historycznoliterackich czy badań nad historią myśli społecznej i politycznej – dialektykę tekstu i kontekstu. Przypomnijmy: emergencja polega na tym, że cechy i sposoby funkcjonowania elementów systemu nie są tożsame z cechami i sposobem funkcjonowania struktur składowych, podsystemów ani też z cechami systemu jako całości; każdy z poziomów zorganizowania całości, choć poddany wpływom, ograniczeniom i ingerencjom ze strony otoczenia lub struktury nadrzędnej, w swym wewnętrznym funkcjonowaniu podlega także mechanizmom immanentnym, właściwym tylko sobie.

Ogląd świata z perspektywy jednostkowej, osobistej musi więc być inny niż jego interpretacja z perspektywy ideologicznej. Przeciętny człowiek kieruje się w swoim życiu raczej takim założeniem: Ustroje, ideologie, władcy przemijają, natomiast trwają (mimo zmian): rodzina, małżeństwo, zespoły pracownicze, obyczaje, tradycje, dorobek kultury.

Analityczne pojęcie uwikłania jako korelatu uczestnictwa ma charakter neutralny ideologicznie i politycznie. W tym ujęciu badanie dowolnej całości i uczestnictwa w niej służy diagnozie wyjaśnieniu mechanizmu. Stwierdzamy jedynie, że dane zjawisko (np. czyjaś przynależność organizacyjna, aktywność zawodowa, wyobrażenia o pewnych sprawach) były uwarunkowane całokształtem pewnych czynników, że nie sposób zrozumieć ani wyjaśnić jego genezy, kształtu, ewolucji bez uwzględnienia tego historycznego kontekstu, bez lokalizacji w określonej przestrzeni społecznej, że nie można zrozumieć danego zjawiska w oderwaniu od innych zjawisk, których ocena nie jest tożsama z jego oceną. W tym sensie czyjś majątek (jako spadkobiercy) może być uwikłany w kolonializm, podboje i łupy wojenne, czyjś dyplom może być uwikłany w komunizm lub w III Rzeszę – bez względu na czyjeś poglądy lub zupełny brak poglądów. W tym sensie twórczość Dymitra Szostakowicza była uwikłana w realia stalinizmu – co jednak nie znaczy, że była stalinowska ani też antykomunistyczna.

Analityczne podejście bierze pod uwagę to, że złożoność uwarunkowań, przeciwstawność czynników oddziałujących na aktywność życiową i postawę ideową jednostek i grup może powodować właśnie niejednoznaczność, ambiwalentność, wewnętrznie sprzeczny charakter ich sytuacji społecznej, ich czynów i losów. Czasem tylko ułatwia nam orientację wyraziste samookreślenie konkretnych osób w konkretnych sytuacjach czy na określonych etapach; ale równie dobrze może ono być wyrazem złudzeń, nieporozumienia, konformistycznego zakłamania lub koniunkturalnego przystosowania.

Wymowny jest pod tym względem wspomniany już przykład Szostakowicza: z jednej strony, „pupil reżymu”, laureat nagród, których nazwy dziś „wstyd wymieniać”, z drugiej strony – obiekt krytyki i niełaski z powodu zarzucanego mu formalizmu, z jednej strony – twórca symfonii programowych opiewających rewolucję, 1 maja, tradycję bolszewicką, z drugiej strony – przyjaciel dysydentów. Jak się z tym upora „rozliczeniowiec”? Albo wyrzuci całość na śmietnik historii, albo też wstydliwie, choć z premedytacją, coś przemilczy.

**Pułapki optyki ideologicznej**

Ideologiczne podejście do uczestnictwa i uwikłania ludzi w cechy aktualnego lub byłego układu społecznego ujawnia bezradność myślową w obliczu tych problemów i karkołomne lub prostackie próby uporania się z nimi.

Usprawiedliwieniem dla inkwizytorsko-mścicielskiej zawziętości mają być te konkretne sprawy, w których ewidentnie zbrodnia jest zbrodnią, krzywda krzywdą (choć i takie sytuacje mogą nie być równie jednoznaczne jak ewidentne w skutkach zdarzeń lub działań ludzkich); do tych konkretnych spraw (kwalifikujących się do sądów lub rozmaitych trybunałów symboliczno-honorowych) dołącza się jednak hurtem inne, a w praktyce przekreślenie starego porządku usiłuje się przekształcić w kryminalizację aktywności zawodowej i społecznej każdego, kto nie był ofiarą lub kontestatorem tego porządku. Czyści moralnie są tylko ci, którzy walczyli i cierpieli, wszyscy pozostali są moralnie podejrzani i powinni się „rozliczyć”.

Ten postulat napotyka, co prawda, liczne praktyczne trudności w zastosowaniu.

Jak np. wybrnąć z tego kłopotu, że opozycjonista, dysydent symbolizujący opór i wyniesiony z tego powodu do rangi autorytetu moralnego sam przez pierwszą połowę życia ucieleśniał i nader skutecznie współtworzył, umacniał to, co potem równie skutecznie i żarliwie zwalczał? Czy to koniunkturalista? Czy też człowiek niezrównoważony? A może to naiwniak, który dojrzał i przejrzał na oczy? Co prawda, to byłoby to rozumowanie obusieczne, gdyż ta jego młodzieńcza naiwność, trwająca niekiedy aż do czterdziestki i pięćdziesiątki, mimo wszystko kłóci się z obrazem jego późniejszej mądrości i przenikliwości. Może więc raczej ofiara systemu, indoktrynacji, która w końcu wystawiła rachunek i rozliczyła tych, którzy wiedli ją na manowce? Względnie – może to lepiej brzmi i wygląda - to grzesznik nawrócony, który nie tylko dokonał ekspiacji, ale jeszcze z nawiązką odrobił i wynagrodził społeczeństwu szkody, jakie wyrządził? Jednak to przelicytowanie siebie samego (gdy np. ktoś potrójnie swoją przyszłością zaprzecza swej przeszłości) nie usuwa odium uwikłania; balast przeszłości wlecze się za kimś, kto jest teraz zupełnie innym, nowym człowiekiem. Może więc w takim razie rację mają dzieci i wnuki rewolucji, które przyjmują i przejmują ją jako dzieło tych odnowicieli wcześniej uwikłanych, tak czy inaczej splamionych, aby zaraz potem poddać ich swojej czystce? Następcy i spadkobiercy uznają wtedy, bardzo wygodnie dla siebie, że prawo do życia bez poczucia winy i tym bardziej prawo do przywództwa mają wyłącznie ci nieskażeni, czyli przedstawiciele tego pokolenia, którzy sami jeszcze nie mieli tego pecha, by żyć w poprzednim systemie, który tak brzydko wikła ani okazji, by się w jakikolwiek sposób (zwłaszcza korzystnie dla siebie, a z perspektywy późniejszej niechlubnie) uwikłać. Brak dorobku i doświadczeń, zerowe konto (poza nadgorliwością tych nieskażonych) ma być ich przewagą. Jaką? Przecież nie merytoryczną, gdyż chcą kategorycznie oceniać to, co sami znają z drugiej ręki, na podstawie kryteriów, których sami się dopiero uczą. Moralną? Przecież ten, kto sam jeszcze nic nie zdziałał (i tylko dlatego m.in. nie zepsuł), a kto całą swoja działalność zaczyna od „rozliczania” poprzedników nie jest tylko z tego powodu od nich „lepszy moralnie”.

Z takiego kłębowiska nie sposób się wyplątać – ale to z tego powodu, że sam problem jest błędnie postawiony. Ideologiczny model tzw. polityki historycznej jest kwadraturą koła; intencja „oczyszczenia” zamienia się w swoje przeciwieństwo, w kolejną mutację jajczarstwa i hunwejbinizmu.

**Ideologiczna redukcja uwikłania**

Ideologiczny charakter „rozliczeniowych” schematów interpretacyjnych wyraża się przede wszystkim w tym, że uwikłanie rozumiane jest po prostu negatywnie, jako synonim obciążenia (jak w popularnym powiedzeniu o skradzionym zegarku: nie wiadomo, czy to jemu ukradli, czy to on ukradł – w każdym razie jest zamieszany w kradzież), a więc jednostronnie, redukcyjnie, tendencyjnie. .

Niekiedy jest to skrajnie prymitywny sposób rozumienia uwikłania: już sam *rodowód* (miejsce i/lub czas) automatycznie (dys)kwalifikuje. Analizę zastępują egzorcyzmy, etykietowanie i stygmatyzacja – oparta na uprzedzeniach, założeniach przyjętych *a priori*. Wymaga się jednoznaczności od tego, co ma wieloznaczny charakter, niejednorodny kontekst, co może być antynomią (np. taką jak krytyczne zaangażowanie w coś, kontestacja elementów motywowana akceptacją całości). Polityk czy intelektualista opętany obsesją rozliczeń nie czuje potrzeby zrozumienia tego, co „rozlicza” (czytaj: zwalcza); natomiast przenika go potrzeba ekspresji własnej dezaprobaty, wykrzyczenia pretensji o te złe cechy, rytualnego potępienia i potwierdzenia w ten sposób (jedynie w ten sposób) własnej wyższości. Obiektywny brak jednoznaczności w wymowie faktów historycznych i biografii ludzkich zupełnie mu nie przeszkadza – represywnym językiem, a jeszcze chętniej procedurami (uproszczonym postępowaniem – jak w kolegiach wykroczeń dla chuliganów) narzuca swoją prostą i „oczywistą” interpretację innym. Dylematy interpretacji fascynujące uczonych i dylematy oceny krępujące myślicieli rozstrzyga, a raczej omija opinią prostą jak cep, wyrokiem nieodwołalnym; sam nie ma i nie uznaje żadnych dylematów. Wielkie spory historyczno-ideologiczne chce przesądzać arbitralnie – jednostronnym własnym werdyktem, zredukowaniem wieloaspektowego zjawiska do jednego wymiaru. W jego mniemaniu wszystkich wokół obowiązuje sekciarska alternatywa: albo – albo, dobro czy zło, z nami czy przeciw nam.

**Sekciarski model czystek**

„Rozliczenia” odbywają się więc pod znakiem *ideologicznego puryzmu* (na wzór dawnych stereotypów czystości klasowej, rasowej, narodowej), co trywialnie objawia się w skłonności do *czystek -* w stylu maoistowskiej „proletariackiej rewolucji kulturalnej”. W tym wypadku chodzi o czystki symboliczne: próby przekreślenia i wykreślenia z pamięci zbiorowej dzieł, pomników, symboli, budynków o niewłaściwym pochodzeniu.

Zwykle jednak ta tendencja do symbolicznych czystek zostaje spersonifikowana: odnoszona już do osób, żyjących i nieżyjących (czystki zwrócone wstecz). Przedmiotem rytualnej agresji stają się pomniki i tablice pamiątkowe. Narzędziem selekcji jest też wyklęcie nazwisk twórców (formalne, a jeszcze częściej nieformalne – temu służą niepisane indeksy, czarne listy). Obowiązkowa staje się zmiana niewłaściwych patronów ulic, szkół, uczelni, teatrów – choćby wbrew woli mieszkańców, uczniów, publiczności. Pod hasłem „przywracania pamięci narodowej” realizowana jest inżynieria dusz *a rebours*: przeprogramowanie pamięci zbiorowej. Program minimum: zastąpić dobrą pamięć o czymś złą pamięcią. Nie dzielić włosa na czworo, roztrząsając rozmaite wątpliwości i subtelności, złożoność zjawisk i problematyczność wiedzy o nich, lecz dokonać oceny z marszu, wrzucając do jednego kosza fałszywe mity, kult zbrodniarzy i dokonania tych, którzy uczestniczyli zamiast walczyć i zginąć lub wyjechać daleko. Program maximum: wykreślić z pamięci, a przez to jakby z historii. Działa to na podobnej zasadzie jak sławetne wycinanie postaci ze zdjęć. Znamy też i wcześniejsze sposoby rozprawiania się z przeszłością unieważnioną: niszczenie figur pogańskich, zamalowywanie fresków. Teraz nasze na wierzchu.

Działania symboliczne wspierają praktyczne czystki kadrowo-personalne. Po pierwsze, hurtowe wykluczanie, a w każdym razie „prześwietlanie” (weryfikacje) ludzi utożsamianych ze starym porządkiem. Bankructwo lub kompromitacja systemu ma być tożsama ze zbiorową kompromitacją ogółu jego funkcjonariuszy, a nawet z automatyczną osobistą kompromitacją każdego z nich. Gdy mowa o nadużyciach dawnej władzy, działaniach przestępczych i zbrodniczych, to rozlicza je się hurtem, na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej. Co prawda, czyni się tu selektywne, arbitralne wyjątki dla użytecznych neofitów, zwłaszcza wtedy, gdy nie tylko i nie tyle nawet dokonają rytualnego odcięcia się, lecz przydają się w zwalczaniu pozostałości dawnego systemu i swych dawnych patronów, chlebodawców współtowarzyszy – zwłaszcza jako spóźnieni demaskatorzy, denuncjatorzy i w roli Wallenroda, który teraz już może się ujawnić.

W indywidualnej zaś ocenie kwalifikacji oraz postaw moralnych konkretnych osób (uczciwości, osiągnięć i zasług lub spowodowanych szkód społecznych, działania w dobrej lub złej wierze) obowiązuje kredyt nieufności, uprzedzenie negatywne i oczekiwanie, że się rozliczą, uwiarygodnią. Działa wtedy przewrotna zasada „udowodnij, że nie jesteś wielbłądem”. Udowodnij, że nie byłeś karierowiczem, malwersantem, kolaborantem, agentem, zdrajcą narodu itd. – przy założeniu, że z góry obciążają cię sama przynależność, dyplomy, ordery, nagrody, awanse.

Ułomność tego rozumowania uwidocznia się w zderzeniu ze zdrowym rozsądkiem ludzi traktujących swoje życie jako integralną całość, a nie jako oddzielne epizody zmieniających się porządków i koniunktur politycznych. Małżeństwa zawarte w PRL – były komunistyczne czy antykomunistyczne? Dyplomy uprawnień zawodowych, inżynierskie, magisterskie, doktoraty i profesura – były za czy przeciw? Czy intymnie skryta antykomunistyczna intencja (o której opowiada się dopiero dziś, bo niegdyś w podaniu o przyjęcie, dopuszczenie itd. padały różne rytualne deklaracje prawomyślności itp., a moment takiej demonstracji – po fakcie – mało ją uwiarygodnia) unieważnia lub usprawiedliwia splamienie się „kolaboracją”, tzn. samym w sobie faktem nauki, studiowania, pracy i dyplomem, świadectwem z orzełkiem bez korony?

**Dwojaki sens pojęcia rozliczeń**

Pojęcie rozliczenia – nawet w myśleniu i języku potocznym – to nader obrazowa metafora, oparta na dostrzeżeniu podobieństwa między, powiedzmy, bilansem buchalteryjnym (gdzie porównuje się wydatki i przychody, korzyści i straty) a podsumowaniem jakiegoś etapu historycznego, zmian społecznych, ideologicznych i ustrojowych względnie czyjegoś życiorysu. Jest to taki schemat analizy i w konsekwencji oceny zjawisk (np. dorobku konkretnych osób, dziedzictwa kulturowego większej wspólnoty, ideologii negowanej lub dokonującej przewartościowań, ustroju odchodzącego w przeszłość itp.), który zakłada porównanie pozytywów i negatywów, aktywów i pasywów, zaś odnoszony do przezwyciężania przeszłości i zmian społecznych stanowi próbę rzeczowego określenia, co się przeżyło, a co pozostaje żywotne i trwałe. Z kolei wobec tego, co przetrwało mimo zmian i okazuje się żywotne rozliczenie oznacza wybór aksjologiczny. Wtedy jest to rozstrzyganie, czy to, co nadal trwa, zasługuje na kontynuację, czy też na odrzucenie, przekreślenie, na zastąpienie czymś innym (a może niczym nie trzeba zastępować, może brak tego elementu nie spowoduje żadnej luki). Ale do takiego rozstrzygnięciu można podejść bądź racjonalnie, rzeczowo (właśnie w kategoriach bilansu, kierując się także tym, czy korzyściom z przewartościowań nie zaprzeczają ich koszty), bądź emocjonalnie i wręcz irracjonalnie (kiedy to niczego nie chcemy ani porównywać, ani ważyć, gdyż o wyniku konfrontacji przesądza z góry nasze uprzedzenie, potraktowane jako „oczywista oczywistość” nie wymagająca ani uzasadnienia, ani weryfikacji). W tym drugim przypadku rozliczenie znaczy po prostu tyle, co ustalenie i złapanie winnego, napiętnowanie i wykluczenie (przekreślenie, zdegradowanie, wypędzenie, zniszczenie). Ale też, wbrew pozorom, ma to być rytuał permanentny: nie o to chodzi, by „rozliczyć” i sprawę zamknąć, lecz o to, by rozliczać bez końca pod hasłem niedostatecznych rozliczeń. Czym to wytłumaczyć? Zarzut niewystarczalności rozliczeń stawiany innym to znakomity tytuł do przedłużania sobie samemu samozwańczej kadencji strażnika sumień.

Zarówno bilansowy, jak i aprioryczny sposób rozliczania może być stosowany wobec zdarzeń aktualnych (np. wobec afer gospodarczych i politycznych, przestępstw, niegodziwości moralnych), jak i wobec zdarzeń i zaszłości historycznych (np. nieujawnionych lub nieukaranych nadużyć, krzywd, zbrodni); przy czym w tym drugim podejściu z góry zakłada się, że rozliczenie dotyczy tego, o czym z góry wiadomo, że jest (było) po prostu złe, bez żadnych subtelności, relatywizacji i tym bardziej bez jakichkolwiek dylematów oceny.

**Prymitywistyczny i demagogiczny schemat rozliczeń**

W prymitywistycznym lub rozmyślnie demagogicznym pojęciu rozliczeń bynajmniej nie chodzi o to, by obliczyć to, co jest przedmiotem roztrząsania (określić skalę, natężenie i proporcje zjawisk współzależnych, co wymaga myślenia w kategoriach struktur i kontekstów), lecz o to, by ocenę z góry przyjętą potwierdzić i narzucić otoczeniu. Nie jest tu intencją – wbrew zaklęciom, że trzeba poznać „całą prawdę” – wyjaśnienie tego, co jest obiektem kontrowersji, sporów lub wątpliwości, lecz uzyskanie arbitralnej i samozwańczej władzy nad środowiskiem, w tym: przekształcenie swych oponentów z uczestników równoprawnych dyskursu lub gry politycznej w podsądnych poddanych swojemu bezdyskusyjnemu i nieodwołalnemu osądowi.

Demagog, który przejmuje władzę, czyni to pod hasłem porządków, czyszczenia stajni Augiasza. Temu ma służyć psychoza rozliczeń – czy to historycznych, czy też całkiem świeżych, odnoszonych do bezpośrednich poprzedników. Rozliczeniowiec przy władzy zajmuje się oczywiście tym, co podobno zepsuli jego poprzednicy, ale zajmuje się bynajmniej nie praktycznie, nie tyle produktywnymi staraniami, żeby samemu zrobić to lepiej, ile samymi tymi poprzednikami, by ich dopaść i załatwić. Zresztą, skłonny jest wierzyć, że pościg i zemsta są ekwiwalentem naprawy. Przecież, gdy podłoga jest brudna, to wystarczy ją umyć z brudu, żeby już była czysta. Zaś aby przywrócić czystość moralną, duchową czy rasową, wystarczy oczyścić społeczeństwo z elementów nieczystego pochodzenia, z nieczystym sumieniem i z nieczystymi myślami. Zaprowadzenie lub przywrócenie porządku znaczy tyle, co czystka.

Droga do naprawy – to ustalenie, ukaranie, a najlepiej usunięcie winnych. Przyczyny zbiorowych niepowodzeń lub zaniedbań, niedokonań zawsze mają charakter personalny i grupowy. Nie są splotem wielu czynników (w tym między innymi, lecz nie wyłącznie błędów, złudzeń, nieumiejętności, złej woli), lecz po prostu sprawką złoczyńców.

Winnych zwykle wskazuje się z góry, zawczasu. Ustala się nie tyle to, czy rzeczywiście są winni, ile to, jak ich przyłapać lub wrobić.

Rozliczyć – afery lub zaszłości historyczne – to znaczy „puścić w skarpetkach”, a nie zbilansować osiągnięcia, błędy i porażki, zasługi i winy, sprawdzić, czy popełniono przestępstwo, czy ktoś miał złą wolę. Rozliczyć to znaczy ustalić, jaka kara im się należy (bo że się należy, to jest oczywiste w punkcie wyjścia), albo sprawdzić, czy już wymierzona kara nie jest zbyt łagodna, czy to nie jest krycie. Rozliczyć – to dokręcić śrubę. Rozliczyć to znaczy bez końca wznawiać sprawy nierozstrzygnięte, a nawet dawno i wielokrotnie rozstrzygnięte nie po naszej myśli (umorzenie, uniewinnienie, łagodny wymiar kary).

„Rozliczenie” to kategoria sprawiedliwości „ludowej”, a nie *proceduralnej*. Standardy prawa krępują: nie wystarczy nie lubić, aby podejrzewać; nie wystarczy podejrzewać, aby oskarżać; nie wystarczy oskarżyć, aby ukarać (bo trzeba jeszcze udowodnić winę i mieć prawo do wymierzania kary). W dodatku, to już zupełny zbytek, trzeba tu kierować się zasadą „ciężar dowodu spoczywa na oskarżycielu”, domniemaniem niewinności (dopóki mu nie udowodnią, pozostaje niewinny), a nawet, o zgrozo, rozstrzyganiem wątpliwości na korzyść oskarżonego. W sprawiedliwości ludowej wręcz przeciwnie, wina jest oczywista (w każdym razie już samo oskarżenie czyni przestępcą), a wobec tego równie oczywista jest kara. Zadanie w rozliczeniu nie polega na tym, żeby udowodnić zarzuty (np. zarzut szkodnictwa, nadużycia albo zbrodni) i mieć umiar w wymiarze kary (adekwatnej do winy), ale na tym, żeby ich przycisnąć, żeby z nich wydusić, żeby się dokopać do tego, co tak skrzętnie ukrywają. Oskarżyciel dostarcza oskarżonego, zapowiada, że zaraz znajdzie haka, i szuka przy sędziach, i zaprasza publiczność do pomocy w wykopkach. Przejawia przy tym zapał iście archeologiczny, o ile archeolog może wykopywać na wyścigi. A cały czas stroi groźne miny: każdy, kto go przed zakończeniem wykopków zapyta o dowody do jego oskarżenia, usłyszy, że utrudnia śledztwo, że nożyce się odezwały. Wykopki rewidenta (tzn. gorliwe szukanie dowodów na to, co już wiadomo, choć na razie nie ma dowodów) w rzeczywistości nigdy się nie kończą, mogą być co najwyżej przerwane.

Rozliczeniowiec zajmuje się wymuszaniem - przez swoje oskarżenia i żądania rozliczeń - by oskarżony udowodnił, że nie jest wielbłądem – że nie ukradł, że nie jada kiełbasy z wyborców, że nie siedzi na złotym sedesie. Wzywa, by się przyznać, by oddać i odejść. Z jakiego powodu? A, to dopiero ustalimy, jak zdasz broń w depozycie. To my rozstrzygamy, kto do czego się przyznał, albo, jeszcze częściej, kto czego się wypiera. Nasz wywód o przedmiocie i treści wykrętów wystarczy za wszystko: za przewód, za dowód, opinię biegłych. Już my wiemy, czemu się broni tak zawzięcie. Już my go przyłapiemy, pociągniemy za język. Sam nam podsunie pomysł, gdzie mu się spruje linia obrony. Ukochane miejsca występów rozliczeniowca to nadzwyczajne trybunały, speckomisje i sądy kapturowe, w których jest panem sytuacji i tym, kto ma ostatnie słowo. Podświadomie naśladuje śledczego-fetyszystę, który, gdy brak podejrzanych, nawet z krzesła wydusi przyznanie się do winy. **Rzecznik rozliczeń to ochotniczy rewident-likwidator.** Rozlicza na takiej zasadzie, jak pracownik depozytu w więzieniu spisuje inwentarz pensjonariusza.

**Pseudokombatancka i inkwizytorska negatywistyczna ideowość**

Obrachunki z historią w wydaniu prymitywistycznym lub demagogicznym przybierają postać wylewania dziecka z kąpielą. Obsesja czystości i oczyszczenia rodzi tęsknotę za fizycznym wręcz rozdzieleniem strefy dobra i zła, dążenie do tego, aby wszelkie pozostałości przeszłości odrzucanej *en bloc* zamknąć w jakiej jednej pojemnej skrzyni, a następnie komisyjnie ją spalić i popioły rozsypać w miejscu nikomu nieznanym.

Jest to skrajnie negatywistyczna postać ideowości: wiara w czystą, nieskalaną ideę i w możliwość równie czystych jej ucieleśnień owocuje skupieniem wyłącznie na zwalczaniu tego, co mogłoby ją skalać jako relikt złej przeszłości. To zaś opiera się na przeświadczeniu, że prosty kontrast (czego nie chcemy, co nienawidzimy, co powinno być wyklęte i zniszczone) wystarczy do tego, aby zdefiniować to, co ma być pozytywną alternatywą.

Negatywistyczny typ uczestnictwa wyróżnia *koncentracja na zwalczaniu przeciwnika zamiast na konstrukcji własnej, alternatywnej bazy społecznej, idei, programu.*

Poczucie konstruktywności i obowiązku ideowego (moralnego, religijnego, patriotycznego, obywatelskiego) zostaje utożsamione z obroną wartości równie świętych jak oczywistych. Wartości tych bowiem ich wyznawca ani zdefiniować ani uzasadnić, zwłaszcza w porównaniu i w polemice z innymi, „nie potrzebuje”, a w rzeczywistości również nie potrafi. Zarówno obrona, jak i wcielanie w życie owych uświęconych wartości pozytywnych utożsamiane są po prostu ze zwalczaniem przeciwnika; a w każdym razie do tego zostają sprowadzone w praktyce. Wartości pozytywne definiowane są jako proste i mechaniczne zaprzeczenie, a raczej zwalczanie tego, co głosi obrzydliwy wróg. Z kolei sama zasługa zwalczania wroga - wcielonego szatana - czyni każde moje działanie słusznym, jest zasługą i cnotą, ba, dowodem mojej przyrodzonej moralnej wyższości i prawa do arbitralnej oceny innych.

Uosobieniem neurotycznego negatywizmu w naszej dzisiejszej kulturze politycznej są znane zjawiska: od seansów nienawiści w radiostacji katolickiej powołującej się na chrześcijańskie nauki o miłości bliźniego i przebaczeniu, poprzez happeningi żenujące prymitywizmem demonstrowanych stereotypów i osobliwego, nienawistniczego poczucia humoru, po bojówkarskie wyczyny różnych młodzieżówek, kończąc na rozważanych jak najbardziej poważnie pomysłach dekomunizacji... cmentarzy przez profanacje grobów i wykopki, z myślą o przestrzennym wręcz rozdzieleniu stref przyzwoitości, zasługi i występku. To typowo rytualistyczny schemat odreagowania własnej bezradności w zetknięciu z czymś, z czego istnieniem nie umiemy się pogodzić; coś między wysiłkami egzorcysty z kropidłem a gorliwością firmy zajmującej się dezynsekcją. Sposób myślenia i zachowania uczestników podobnych ruchów jest - wbrew ich własnym intencjom - analogiczny do postaw dawnych młodych bezkompromisowych „pionierów postępu”; przypomina jako żywo horyzont myślowy i rytualny repertuar młodych czerwonogwardzistów w epoce „rewolucji kulturalnej”. I podobnie jak w innym miejscu i czasie siła radykalizmu jest odwrotnie proporcjonalna do znajomości rzeczy (np. znajomości doktryny i dziejów komunizmu czy socjalliberalizmu).

Ideowcy tego pokroju nie dostrzegają – lub nie chcą dostrzec – dwojakich paradoksów-pułapek swej postawy. Po pierwsze, nie rozumieją, że w niszczycielskim zapędzie, w ideologicznie uwznioślanym wandalizmie w stosunku do pomników, zabytków architektury, książek, cmentarzy zaczynają przypominać swych poprzedników, którzy w podobny sposób czynili jedynie możliwym i jedynie realnym swój nowy ład. Po drugie, nie rozumieją, że – niestety – cała historia ludzkości jest pasmem nie tylko negatywnej selekcji (negacji, anihilacji stanów i dokonań z poprzedniego etapu, zastępowania przeżytków przez innowacje), ale również wybiórczej adaptacji i reanimacji zastanego dziedzictwa (przykład: inkorporacja rozmaitych lokalnych tradycji i kultów oraz myśli starożytnej w obrzędowości kościelnej i teologii); co więcej, że dorobek ludzkości i konkretnych narodów jest rezultatem kumulacji wartości i tradycji niejednokrotnie rozbieżnych i przeciwstawnych. I tym właśnie różni się człowiek kulturalny od „neodzikusa”-prymitywa: nastawieniem uniwersalistycznym, przyjęciem do wiadomości, że wspólne i cenne może być nie tylko to, co nasze, swojskie, zaś obce z pochodzenia nie musi być obce w odbiorze i przyswojeniu.

*Negatywistyczny* typ uczestnictwa jest radykalną ekspresją neurotycznego nieprzystosowania do sytuacji współistnienia i konieczności współdziałania oraz współzawodnictwa z przedstawicielami zupełnie odmiennych lub wręcz przeciwstawnych dróg życiowych, idei i stylów życia. Jest więc swoistą reakcją na obecność i sukcesy tych, których samo istnienie zakłóca równowagę psychiczną moralnych i historycznych zwycięzców. Przecież ich zasłużenie obaliliśmy – dlaczego więc jeszcze są wśród nas, dlaczego mają korzystać ze swojego dorobku, a nawet w nowym porządku cieszyć się uznaniem społecznym? W polskich realiach współczesnych postawa ta jest wyrazem wewnętrznego pęknięcia w procesie socjalizacji politycznej - w którym zderza się abstrakcyjny postulat pluralizmu, otwartości, tolerancji z niezaspokojoną potrzebą lub wręcz obsesją przezwyciężenia przeszłości, rachunków sumienia i publicznych rozliczeń, co znajduje wyraz zwłaszcza w egzorcystycznym i radykalnie represywnym pojmowaniu dekomunizacji. Oczywiście, nie ma niczego nienaturalnego w pragnieniu przezwyciężenia przeszłości czy rozliczenia własnych przeciwników z prześladowań, spowodowanych szkód i krzywd. Nienaturalną tendencją jest natomiast specyficzny kontekst tych dążeń: po pierwsze, chęć bycia sędzią w sporze, w którym jest się stroną; po drugie, inercja wojowniczości – odgrzewanie walki po wygraniu walki (co przypomina żal, że nie wyrżnęło się od razu wszystkich jeńców); po trzecie – ucieczka w przeszłość i w sztucznie przedłużaną własnym wysiłkiem walkę przed problemami nowej rzeczywistości, których nie rozumiemy i z którymi nie potrafimy sobie radzić (co przypomina z kolei stalinowską receptę na wszelkie kłopoty: niedobitki, szpiedzy, sabotażyści, mięczaki i zdrajcy we własnych szeregach; im większe postępy, tym gorsze nawroty).

Innym paradoksem tych negatywistycznych rozliczeń, w których wartością staje się nie jasność, lecz nieufność, podejrzliwość, kompleks zdrady i podstępu (niektórzy swoi wcale nie są swoi) jest to, że paranoidalna dociekliwość i pieniactwo zwracają się nie tyle przeciw eksponentom obalonego poprzedniego porządku związanym z nim do końca, ile przeciw współtowarzyszom świeżo wygranej walki. Zwalczanie pozostałości (symbolicznych i osobowych) *ancien regime’u* z celu samego w sobie przekształca się w instrument, a nawet pretekst do wewnętrznych porachunków w obozie zwycięzców, do zwalczania umiarkowanych beneficjentów zmiany jako rzekomych kolaborantów czy agentów. Z czasem zresztą historyczne namiętności, które nieuchronnie wygasają, można zastąpić całkiem aktualnym powodem do mściwości i adresatem nienawiści – o czym świadczy przytomnie wzbudzona i skanalizowana psychoza społeczna po katastrofie smoleńskiej.

Negatywizmu nie należy jednak mylić z *nihilistycznym* typem uczestnictwa w polityce, w którym programowo nie uznaje się żadnych wartości lub przyjmuje się skrajny relatywizm aksjologiczny; czego podłożem jest albo aspołeczność, jak w sytuacji marginesu społecznego, albo wyobcowanie kulturowe, albo dekadencki cynizm. Negatywizm nie wyrasta z relatywizmu i indyferentyzmu ideowego, lecz właśnie z zaangażowania, tyle, że neurotycznego albo zgoła paranoicznego, w którym przeważa negatywny typ motywacji. Jest to więc negatywistyczna ideowość, destrukcyjna i autodestrukcyjna - w znaczeniu jak u Fromma, a nie konstruktywna. Dlatego właśnie przybiera formy agresywne i wręcz prymitywne. Zoologiczny antykomunizm, antysemityzm czy wojujący z wszelką odmianą laickości klerykalizm (podobnie jak niegdyś wojujący ateizm), nie wymagają subtelnych uzasadnień. Wyznawcy takiej idei (a raczej fobii i obsesji) w zupełności wystarcza przeżywanie i wyładowanie na zewnątrz negatywnych emocji. Jest to praktyczna konkretyzacja orientacji fanatyczno-ekstremistycznej – konkretyzacja w tym sensie, że zwolennik takiego czy innego „izmu” nie wykracza poza żetony ideologiczne – ogólniki, banały i frazesy, poza rytualne manifestacje własnych emocji; w gruncie rzeczy nie próbuje nikogo przekonać ani nawrócić, lecz skupia się na wrogach, których potrzebuje jak powietrza.

W pobudkach i intencjach negatywista jest zaprzeczeniem dosłownie pojętego nihilisty, który sam w nic nie wierzy, a gotów jest niszczyć wszystko, co mu przeszkadza lub nawet tylko jest mu niepotrzebne. W rezultatach jednak ten wybiórczy pietyzm historyczny (pielęgnowanie odpowiedniej tradycji i ogrodnicza wręcz troska, by w porę wypielić wszystkie ideologiczne chwasty) upodabnia się do nihilizmu – w dzikim czy barbarzyńskim stosunku do niewygodnych, kłopotliwych czy nieprzyjemnych świadectw historii. Poprawianie historii przez „wywabianie plam” nie zmienia przecież wstecz realnego biegu historii, owocuje tylko bądź ignorancją i naiwnością, bądź zakłamaniem.

Gdyby ten sposób myślenia i działania towarzyszył walce o wolności polityczne, był odpowiedzią na autorytarny lub totalitarny sposób rządzenia, na arbitralne uprzywilejowanie polityczne przeciwników ideowych i represje z ich strony, byłoby to zachowanie naturalne, choć nieadekwatne do potrzeb i paradoksalnie powielające wzorce autorytarne. Inaczej jest w sytuacji, gdy pluralistyczny mechanizm demokracji liberalnej umożliwia równoprawną prezentację i konfrontację różnych dążeń i tradycji, a selekcję społeczną przenosi na płaszczyznę polemiki ideowej, sporów programowych, rozstrzyganych miarą wiarygodności, poparcia społecznego i werdyktu wyborczego. Wówczas arbitralny zamiar eliminacji własnych przeciwników i równie arbitralna próba rozstrzygania ponad głowami wyborców, kogo mogą wybierać, ewidentnie ujawnia wzorzec autorytarny partycypacji, ale uwikłany w schizofreniczną sprzeczność między kamuflażem „walki o prawdziwą demokrację” a jawnym programem dyskryminacji i ciągotami inkwizytorskimi, a nawet wręcz bojówkarskimi.

W rozliczeniowej obsesji prym wiodą nie tyle zwykli ludzie, którzy uznają, że ich życie zostało zmarnowane, że ktoś ich zawiódł, wykorzystał, oszukał i trudzili się na próżno; i nie tyle nawet ludzie rzeczywiście lub tylko w swym odczuciu skrzywdzeni – jako namiętni mściciele, spragnieni odwetu nazwanego sprawiedliwością, ile polityczni gracze, którzy na tych emocjach zbijają kapitał. Wśród nich zaś: neofici pragnący uciec przed współodpowiedzialnością i jeszcze zyskać na swym przepoczwarzeniu; spóźnieni bojownicy cierpiący z powodu świadomości, że ich ominęła epopeja walki przedwcześnie – dla nich - zakończonej, a więc taka okazja do popisu i taki tytuł do sławy (do nich należą też „gorące głowy” z młodego narybku); wreszcie – makiaweliści-cynicy. Ci ostatni wiedzą, że najwięcej władzy niepochodzącej z wyboru i niepoddanej kontroli zyskuje się sterując zamieszaniem, strachem i konfliktem. Wiedzą także, iż najlepiej zaciera się ślady własnych karkołomnych wolt politycznych, zwrotów o sto osiemdziesiąt stopni, gdy wszystkich wkoło wywołuje się do apelu i stawia na baczność.

888888

\* Fragment książki: Mirosław Karwat, *O karykaturze polityki* (tam zatytułowany: *Retropolityka: obsesja rozliczeń*), Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2012.